

WSPOMNIENIA SERCEM PISANE

Ks. Wacław Madej

Pamiętajcie o swych przełożonych, którzy głosili wam słowo Boże i rozpamiętując koniec ich życia, naśladujcie ich wiarę! (Hbr 13,7n)

Tymi słowami, autor Listu do Hebrajczyków zachęca wiernych do kroczenia drogą zbawienia, posługując się śladami, pozostawionymi przez ich pasterzy. Jak ważną rzeczą jest, aby ta zachęta nie straciła swojej mocy! Przy czym chodzi o to, aby nie tylko wierni chcieli naśladowywać swoich pasterzy, ale przede wszystkim, aby znajdowali się pasterze, których nie tylko warto słuchać, ale za którymi warto iść.

Parafia św. Marka Ewangelisty na warszawskim Targówku ma to szczęście, że Pan Bóg u początku jej powstania postawił Osobę, o której wdzięczna pamięć nie ginie: Człowiek, Kapłan, Budowniczy kościoła... ks. Szczepan Stalipiński. Odszedł do Pana po ludzku za wcześnie, bo w wieku niespełna sześćdziesięciu lat, ale tak wiele przeżył i tak wielu ludzi poprzez Niego doznało Bożej dobroci.

Można jej doświadczyć jeszcze dzisiaj, patrząc w oczy tutejszym parafianom, zaglądając niejako do ich serc. Bo te serca ciągle są „wypełnione ks. Szczepanem”. Z potrzeby tych serc, zrodził się pomysł na wydanie króciutkiej książeczki, zawierającej wdzięczne wspomnienia o Pierwszym Proboszczu Parafii św. Marka Ewangelisty. Z radością oddajemy je do Waszych rąk, abyście czytając, sami wspominali. Wspominając, „pamiętali o swym Przełożonym, który głosił wam słowo Boże i rozpamiętując koniec jego życia, naśladowali jego wiarę!”

Jezus Chrystus wczoraj i dziś ten sam także na wieki. (Hbr 13,9)

Tomasz Parol

Co można powiedzieć o księdzu Szczepanie Stalpińskim, jako o budowniczym naszego Kościoła (widzialnego i duchowego)? – Wiele, ale czas zaciera fakty, pozostają tylko migawki. Dlatego też podpieram się kronikami, które są w naszym Kościele do wglądu, które serdecznie polecam. Jacy byliśmy młodzi, piękni i silni ciałem.

Jak trafiłem na budowę jako pomocnik księdza Szczepana ucząc się murowania, zbrojenia, tynkowania itp. - trudno teraz sobie przypomnieć. Chyba jak to zwykle w życiu bywa, była to Chwila. Boję się powiedzieć, że to Dar. Może jednak? Jako mieszkaniec Zamiejskiej 1, obserwowałem zlokalizowany naprzeciwko plac przy Zamiejskiej 6. Było to wysypisko śmieci – smutny widok. Aż tu w 1987 r. poszła między sąsiadami wieść, że będzie tu budowany kościół. Pracowałem wtedy jako taksówkarz, miałem nienormowany czas pracy, była więc możliwość włączenia się. W początkowym okresie zajmował się budową śp. Ks. Henryk Dreling, proboszcz parafii Św. Rodziny na Zaciszu. Rozpoczęliśmy od uprzątnięcia placu. Ksiądz nie miał jeszcze wszystkich dokumentów zezwalających na budowę kościoła, ale wkrótce, dzięki licznym staraniom, a i sprzyjającym wiatrom, udało się uzyskać zezwolenie na budowę. „Czerwony” był podobno przychylny, ale do końca mnożył problemy, nie wiedział: zabraniać czy pomagać.

Chyba w czerwcu 1987 r. pojawił się po raz pierwszy na placu budowy nasz przyszły proboszcz ks. Szczepan Stalpiński z parafianami z Halinowa. Przyjechał swoim starym samochodem. Trudno było poznać, kto jest księdzem, ponieważ wszyscy byli w ubraniach roboczych.

Już 25 października 1987 roku ks. Biskup Marian Duś dokonał poświęcenia placu pod budowę. Do jesieni 1987 roku przy pomocy parafian z Halinowa (cudowni ludzie) została postawiona szopa na narzędzia i materiały budowlane, prowizoryczna wiata, mająca służyć jako kaplica i został ogrodzony plac budowy. Od momentu poświęcenia placu ks. Dreling w każdą niedzielę o godz. 15.00 odprawiał Mszę Świętą.

W 1988 roku w połowie lutego ks. Szczepan przeprowadził się z Halinowa na Zacisze. Msze były już o 10.00 i 12.00 oraz rozpoczęły się wizyty duszpasterskie. Wtedy też za zgodą sąsiadów rozpoczęła się dobrowolna zbiórka datków na budowę i trwała do 1994 roku. Zbierały ochotniczki z każdego bloku. Ciekawe, czy to jeszcze pamiętają?

W kwietniu rozpoczęły się wykopy pod dom katechetyczny i plebanię. Pełną parą ruszyła pomoc sąsiedzka. Znaleźli się nawet fachowcy murarze i zbrojarze. Kto mógł, ofiarowywał pomoc własnych rąk, służył a to koparką, a to wywrotką. Nie tylko mężczyźni byli użyteczni, pomagały kobiety, a nawet dzieci.

19 kwietnia 1989 roku odbyła się pierwsza Msza Święta w kaplicy w domu katechetycznym. W lipcu zgłosił się mający uzdolnienia muzyczne Pan Franciszek Sieńko i został naszym organistą. Jak to dziwnie, a może normalnie się dzieje, że tyłu sąsiadów włączyło się w taki czy inny sposób w budowę, upiększanie i życie naszej Parafii.

W dniu 25 grudnia 1989 roku wizytował naszą budującą się parafię ks. Prymas Józef Glemp. Niezapomniana pierwsza Pasterka.

W 1990 r., 29 kwietnia, Ks. Prymas dekretem powołał naszą Parafię. W dniu 14 czerwca odbyła się pierwsza procesja z okazji Bożego Ciała. Także w tym roku zlikwidowaliśmy prowizoryczną kaplicę, została przeniesiona do domu katechetycznego. W 1991 roku rozpoczęto wykopy pod budowę głównego budynku kościoła.

I tak można dalej i dalej, przy pomocy kronik przypominać sobie. Ale czy nie za mało w tych suchych faktach ks. Szczepana? A przecież był z nami cały czas na budowie – jego zaangażowanie udzielało się nam, wszystkim pomagającym. Po prostu żył budową, a równocześnie pamiętał o nas, zwykłych pomocnikach. Rozmawiał, chwalił, ganił za pracę i za życie. Nachylał się nad naszymi problemami domowymi, doradzał. Nigdy nie odmówił nikomu czasu na rozmowę o jego problemach. Zdarzało się, jak miał krótkie chwile wolnego czasu, że jechał z nami na grzyby, które uwielbiał zbierać. Jednak zawsze na pierwszym planie był Bóg i powołanie do budowania ziemskiego i niebieskiego Kościoła. Nigdy nie myślał o swoich potrzebach. Był Człowiekiem i Kapłanem, którego z wdzięcznością będę wspominał.

Dobrze, że na naszej drodze stawiani są Ludzie, którzy dają nam przykład, jak mamy wędrować, także wtedy, gdy idziemy raz w przód, a raz w tył, potykając się.

Dzięki Ci, Księżu Szczepanie.

Teresa Górzykowska

Byłam pierwszą kościelną, jeszcze jak stał prowizoryczny barak. Sprzątałam, prałam kościelne rzeczy, uczyłam ministrantów służyć. Pomagałam na budowie w wielu różnych pracach. Pamiętam, jak ksiądz Szczepan schodził z budowy, mył się w

misce, przebierał i szedł odprawiać Mszę wieczorną, a potem znowu wracał na budowę.

Dużo było problemów. Ludzie kradli, niszczyli w nocy na budowie, ciężko było coś na to poradzić. Pewnej nocy włamał się ktoś, rozrzucił komunikanty, zapalił świece, wypił wino mszalne i tak zostawił te palące się świece. Ksiądz akurat przyjechał w nocy i może uratował wszystko od spalenia. Albo kiedyś w Boże Narodzenie ktoś zerwał kłódkę, poniszczył choinkę, figurki w szopce. Msza Św. się odbyła. Kiedyś też ukradli krzyż, stuły. Po cichu uzbierałam na te stuły od parafian. A potem złodziej oddał te ukradzione, przerzucił je przez płot. Pieniądze poszły na cement.

Jak w trakcie Mszy Św. zbierałam ofiarę, to prosiłam po cichu, żeby nie żalowali, żeby wrzucali do tego koszyczka, bo to przecież szło na budowę naszego kościoła, a wiedziałam, jak często brakowało pieniędzy. A ksiądz mi mówił, że nie można ludzi wykorzystywać. Ksiądz był taki delikatny, uważny, żeby było wszystko dobrze, w zgodzie, żeby nikogo nie urazić. Ksiądz był bardzo dobry, przychylny, z każdym porozmawiał. A tak ciężko pracował na budowie, nie pieścił się. I jak dużo zrobił dla naszej parafii. Kościół przecież budował na starym wysypisku śmieci.

Pamiętam, jak kiedyś przyjechał biskup ordynariusz. Podszedł do mnie i spytał, gdzie może znaleźć proboszcza Stalpińskiego. A ja mu mówię: „A tam, ksiądz biskup patrzy, kościół muruje”. Ksiądz biskup nie poznał naszego księdza Szczepana.

Kazimiera Roguska

Ksiądz Prałat Szczepan Stalpiński był wspaniałym Księdzem, wspaniałym Proboszczem, ale nade wszystko, był cudownym Człowiekiem. Jak nikt inny rozumiał wszystkich ludzi, dzieląc ich radości i smutki. Jednak to, co najbardziej w Nim uderzało, to była Jego niesamowita pracowitość i ogromne zaangażowanie we wszystko, czym się zajmował. Od rana do nocy był zajęty, wciąż coś budował, malował i upiększał. Kiedy miał chwilową przerwę w tych czynnościach, biegł do ogródka, a tam siał, sadił, podlewał i pielęgnował te swoje roślinki. Każdy pomidor, ogórek czy inne warzywko pozwalało zaoszczędzić przysłowiową złotówkę i przeznaczyć ją na inne cele. Cieszyły Go te maleńkie plony i te skromne złotóweczki,

bo przecież, było ich ciągle mało i mało. Wpadł nawet na pomysł, aby hodować kurczęta, rzeczywiście kupił kilkadziesiąt piskląt. Zorganizował im kurnik w domku za plebanią i był dumny z tego, że tak szybko rosną, a rosły w istic imponującym tempie – to dopiero miała być oszczędność. Tyle tylko, że jadłospis przez długi czas był mało urozmaicony.

Łzy w oczach się kręciły, kiedy się, patrzyło, jak ten Wielki Człowiek, bo był wielki, na swoich obolałych nogach z wiecznie opuchniętymi kolanami (ze względu na chory kręgosłup, większość prac wykonywał na kolanach) nie miał czasu na odpoczynek, bo wciąż i wciąż było coś do zrobienia. Były przecież jeszcze zakupy, takie najzwyklejsze, załatwianie przeróżnych spraw związanych z budową i z codziennymi problemami zwykłych ludzi. Nie było chyba nikogo, kogo by nie wysłuchał i nie starał się w jakiś sposób pomóc.

Dla Wikariuszy i Rezydentów przygotował mieszkania na plebani, starał się, aby byli zadowoleni i dobrze się w nich czuli. Sam niczego nie potrzebował, nie miał mebli, a zamiast żyrandola wisiała u sufitu żarówka na kawałku kabla. Ludzie Ignęli do Niego, ponieważ wszystkich traktował jednakowo, bez podziałów, bez względu na stanowiska czy zainteresowania. Tak samo wiernych jak i „niedowiarków”, a przy tym był radosny i błyskotliwy.

Nie lubił podziękowań ani poklasku, zawsze Go to bardzo krępowało i stresowało, nie lubił być „główną postacią”. Stresował się nieustannie przed opracowaniem codziennych Mszy Świętych, bo wtedy w tym zapracowaniu, zabieganiu często nie zdołał nawet domyc Swoich spracowanych, pokaleczonych dłoni. Nigdy jednak nie zapomniał podziękować wiernym za pomoc i tak po ludzku na koniec powiedzieć coś, co wzruszało, a często rozbawiało. Tak, aby wychodzący z Kościoła wierni mieli uśmiech na ustach i błogość w sercu.

Siostra Victima Bischoff

Pracowałam w Parafii Św. Rodziny na Zaciszu. Tam w 1989 roku poznałam Księdza Szczepana Stalpińskiego. Jeszcze nie było formalnego podziału parafii, bo dopiero w czerwcu 1990 roku zaczęto grodzić plac pod budowę, ale Ksiądz chodząc po kolędzie wiedział już, którzy mieszkańcy będą „przypisani” do parafii św. Marka. Ilość chorych, samotnych i potrzebujących bardzo go poruszyła, więc namawiał mnie do pracy u św. Marka, aby stworzyć pomoc parafialną dla ubogich.

Ksiądz zawsze miał czas, aby komuś pomóc. Coś zawieźć swoim samochodem lub coś załatwić. Na przykład, jak w 1992 roku zaczęło nadawać *Radio Maryja* i wielu spośród chorych miało problem z odbiorem tej rozgłośni, Ksiądz zakupił na stadionie karton małych radiodbiorników, dał znajomemu do przestrojenia i rozdał chorym. Bardzo byli szczęśliwi.

W 1991 roku Ksiądz Szczepan zainicjował do dzisiaj kontynuowaną tradycję wystawiania kosza na dary dla potrzebujących, z okazji Świąt Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy i Tygodnia Miłosierdzia. On też, jeszcze w budującej się parafii, wprowadził spotkania opłatkowe dla chorych. Sam organizował transport - przywoził i wnosił chorych do jadalni. Podobnie było, kiedy zorganizował rekolekcje dla chorych u Księża Orionistów w Łązniewie. Sam zawoził parafian, a w niedziele przyjeżdżał w odwiedziny. Zawsze z owocami lub ciastem.

Świetną ilustracją wrażliwości Księdza Szczepana na ludzkie nieszczęście, jest historia pani Jadzi, sąsiadki budującej się parafii. Osoby samotnej (mąż zginął w Powstaniu Warszawskim), mającej swoje dziwactwa i już wiekowej - 82 lata. Była zima, mróz jak trzeba. Ksiądz zaniepokoił się, że ostatnio nie widać jego sąsiadki. Na stukanie nie było odpowiedzi. Wyłamaliśmy drzwi i zastaliśmy panią Jadzię leżącą na ziemi, nieprzytomną z bardzo wysoką gorączką. Ksiądz natychmiast zarządził przeniesienie jej do jedynej wtedy gotowego pomieszczenia na plebanii, do jadalni. Szybko zorganizowano łóżko, wezwano lekarza, Została obmyta, przyodziana i nakarmiona. Księża przebywający na plebani znosili pościel, ubrania i wszystko, co potrzebne. Troskliwa opieka przyniosła owoce. Pani Jadzia szczęśliwie ozdrowiała. Żyła jeszcze 13 lat, ostatnie 6 lat już nie mogła chodzić. Zajmowałam się nią do końca

z 6-7 wolontariuszkami z naszego Caritas. Ksiądz Szczepan interesował się panią Jadzią bardzo. Często do niej zachodził porozmawiać. Nawet, kiedy wracał wieczorem z budowy, zmęczony, z opuchniętymi nogami, zawsze do niej zajrzał i pozdrowił, zapytał czy już jadła i sam dopiero siadał do kolacji. Pani Jadzia bardzo go szanowała, nie było dla niej większego autorytetu.

Z tamtego okresu zapamiętałam jak mówił „ludzie są dobrzy, ale zawsze trzeba być z nimi blisko, po prostu być dla nich, poświęcić im choćby minutę czasu”.

Do szpitala, kiedy już Ksiądz tam trafił (w Wigilię 2010 roku), zachodziłam codziennie przedpołudniami. Po południu bywali inni, zawsze ktoś był przy nim. Biskup Hozer odwiedził go w dniu imienin, przyniósł różne prezenty. Ks. Szczepan rozdał wszystko, co otrzymał. Taki był.

Mimo cierpienia starał się być pogodny w te ostatnie dni. Rozmawiał z Bogiem, że on budowniczy nie może być zawadą, a więc lepiej, żeby Pan Bóg go zabrał, bo „Twoje są zamierzenia i plany, a my je tylko nieudolnie realizujemy”.

Na dzień przed śmiercią Księdza Stalpińskiego byłam świadkiem jego ostatniej posługi kapłańskiej. Poinformowany przeze mnie o tym, że pacjent leżący obok umiera, zwlókł się ze swojego łóżka resztkami sił, aby udzielić ostatniego rozgrzeszenia. Modlił się bardzo żarliwie. Ten obraz utkwiał w mojej pamięci na zawsze.

Znamienna jest też myśl, jaką obrał za motto swojego kapłaństwa: „Panie, skoro zaczęliśmy we mnie dzieło, z pewnością je dokończysz”

Parafianka z ulicy Zamiejskiej

Księdza Szczepana pamiętam jako kapłana sprawującego posługę duszpasterską w nowo tworzącej się parafii, ale też jako jej budowniczego. Wielokrotnie widziałam go w ciągu dnia pracującego na rusztowaniu, czy też wykonującego inne prace na terenie budowy, a potem odprawiającego Mszę Świętą czy spowiadającego w konfesjonale. Ksiądz był nie tylko dobrym duszpasterzem i budowniczym (prace postępowały bardzo szybko), ale też umiejętnie sprawował pieczę nad nowo tworzącą się wspólnotą, był blisko parafian i ich codziennych problemów.

Pamiętam jak kiedyś, bezpośrednio po spowiedzi, poprosiłam Księdza o Komunię Świętą, ponieważ ze względów zdrowotnych, córka nie mogła pozostać na Mszy Świętej. Ksiądz udzielił nam Komunii, a ja zostałam poproszona o przyjsie na plebanię. Okazało się, że Ksiądz Szczepan chciał porozmawiać na temat naszych problemów, pytał czy potrzebujemy pomocy. Moje dziecko otrzymało soczki z darów.

W czasie wizyt duszpasterskich zawsze interesował się naszą sytuacją rodzinną, zawsze pytał, jak można nam pomóc. To od Księdza dowiedzieliśmy się o punkcie wydawania leków z darów, który mieścił się na ulicy Pszczyńskiej. Bardzo nam to pomogło, bo w innych punktach były kłopoty z otrzymaniem leków, a tam zawsze były dostępne.

Bardzo mile byliśmy zaskoczeni, kiedy w naszym domu pojawili się Kołędnicy, czy też, kiedy otrzymaliśmy paczkę żywnościową na Święta, chociaż o nic nie prosiliśmy. To wszystko było ważne dla nas, bo jeśli ma się problemy, to każda pomoc i wsparcie drugiego człowieka, w każdej formie, ma duże znaczenie i pamięta się to do końca życia.

To, że mamy naszą Parafię (która coraz bardziej pięknieje), zawdzięczamy ciężkiej pracy księdza Szczepana i wszystkim jego pomocnikom - ludziom dobrej woli, których zebrał wokół siebie. Cieszę się, że nasza Parafia powstała i że do niej należę.

Anna Harasowska

Znałam Ks. Szczepana przez 25 lat. Los zetknął mnie z nim po śmierci męża. Ksiądz przyszedł do mnie, pytając, w czym mi może pomóc. Od tego momentu zaczął do mnie przychodzić w pierwsze piątki miesiąca z Komunią Św. Dużo ze mną rozmawiał. Przynosił mi dużo książek do czytania. Te trudniejsze zawierały komentarze. Zawsze pamiętał. Czasami przysyłał sąsiadów, kiedy nie mógł przyjść osobiście.

Bardzo zajmował się ludźmi chorymi. Stworzył w parafii modlitewną i sakramentalną atmosferę dla ludzi chorych. Odbywały się specjalne nabożeństwa i dwa razy do roku w okolicy Bożego Narodzenia i Świąt Wielkanocnych udzielał Sakramentu Chorych. Było to bardzo ważne dla nas. Następnie, na plebani, uczestniczyliśmy w spotkaniach opłatkowych lub dzielenia się jajkiem. Atmosfera była bardzo uroczysta, rodzinna, a Ks. Szczepan był bardzo serdecznym, ciepłym i

troskliwym gospodarzem. Śpiewaliśmy razem kolędy, była loteria. Wielu spośród chorych przywoził i odwoził ksiądz osobiście.

Pamiętam też organizowane dla nas wyjazdy rekolekcyjne. Biedniejszym pomagał finansowo. Troszczył się o transport, także sam woził. W połowie rekolekcji przyjeżdżał do nas z gospodynią, p. Kazią. Przywoził owoce, soki, ciasta. Ale najważniejsze, że spędzał z nami kilka godzin, po czym następowała wspólna modlitwa i wracał do parafii.

Współpracował bardzo ściśle z Siostrą Wiktimą, jeśli chodzi o opiekę nad chorymi. Kochał chorych. Wciąż mam przed oczami obraz, jak dźwigał wózki z chorymi po schodach. Pamiętam też taką scenę, kiedy młody wikary stał z boku, a ksiądz miał problem z dźwignięciem jakiegoś chorego na wózku. Ksiądz Szczepan ostro napomniiał wikarego, by ten „zagiął sutannę” i mu pomógł.

Żeby zdobyć materiały na dokończenie budowy kościoła, podjął się pracy (w której pomagali mu także parafianie) na cmentarzu na Bródnie przy zakładaniu instalacji wodnej i przy pokrywaniu dachu cmentarnego kościoła drewnianego. Już wtedy panie z parafii nie zbierały od nas datków na budowę kościoła.

Był bardzo energiczny, Wymagał bardzo dużo od siebie i od nas. Na zło reagował natychmiast i stanowczo, czasem ostro. Miał jednak w sobie łagodność, radość i ciepło. Był kapłanem bardzo wrażliwym na chorobę, cierpienie, kalectwo. Pomimo nawału pracy przy budowie świątyni, zawsze znajdował czas na przyjście z pomocą duchową, fizyczną czy finansową.

Maria Klukowska

To było szczególne. Po Mszy Św. szybko zdejmował szaty liturgiczne i wychodził do ludzi od strony zakrystii. Rozmawiał, żartował. Biło od niego ciepło. Człowiek się czuł jak w rodzinie, kiedy był w kościele.

Zachęcał ludzi do pracy przy budowie kościoła. Najwięcej sam pracował. Kiedy tylko człowiek coś zrobił na budowie, to czuł zadowolenie. Ksiądz był wesoły, żartował, w trakcie pracy się śmiał, kawały opowiadał, zwłaszcza kiedy te cegły kładł. Jednemu chłopakowi, którego lubił i który pomagał przy budowie powiedział: „Co ty tak słabo pukasz w te cegły, pukaj mocniej”.

Jak był opłatek z chorymi, ksiądz dostał bombonierkę. Oddał ją zaraz niepełnosprawnemu chłopcu na wózku. A ten przycisnął obiema rękami do siebie ten prezent jak jakiś skarb. Jego ciocia chciała zmusić go do poczęstowania wszystkich, ale on tulił ją do siebie, bo to było od Proboszcza. Ksiądz jak tylko miał jakieś cukierki, to zaraz częstował.

Pamiętam, że chodził w starych, podartych sandałach. Raz się spytałam, dlaczego nie kupi sobie nowych, a on, że „pieniędzy szkoda”.

Był bardzo ludzki. Troszczył się o parafian i o kościół. Kiedy odchodził, chcieliśmy pisać protest, żeby jeszcze został, ale na jego prośbę wstrzymaliśmy się. Mówił, że jego powołaniem jest budować kościoły.

Po odejściu z naszej parafii na Korkową, jeździłam tam od czasu do czasu na Mszę Św. Dwa razy rozmawiałam z nim. Pytał, co u nas w parafii.

To był pierwszy mój Proboszcz z takim sercem, dla ludzi.

Maria i Tadeusz Nowakowscy

Z wielu wspomnień wybiorę tylko dwa – dla mnie dość charakterystyczne. Mieliśmy wziąć udział w pielgrzymce do Ziemi Świętej z naszą kuzynką ś.p. Alicją Wine (siostrą męża, która wróciła z USA do Polski jako emerytka, a która przeszła szlak wojenny z armią gen. Andersa). Jednak nasze plany upadły z racji niedomagań zdrowotnych, więc pieniądze przeznaczone na ten cel postanowiliśmy przekazać na budowę naszego kościoła. Udałyśmy się więc do ks. Szczepana. Zastałyśmy go siedzącego przy prowizorycznym stoliku, trzymającego głowę w dłoniach, głęboko rozmodlonego. Nie widział nas ani nie słyszał. Po pozdrowieniu Jezusa Chrystusa, spojrzał na nas i zapytał o cel wizyty. Po naszych wyjaśnieniach podniósł zmęczoną twarz i powiedział: „Modliłem się o pomoc Pana Boga, bo projektant dał mi ostatni termin uzupełnienia zapłaty za projekt i to jest taka właśnie suma”. Zrozumieliśmy, że to był wyraz Opatrzności Bożej, wymodlony przez ks. Szczepana, która uchroniła mnie dodatkowo od ciężkiej choroby w podróży i pozwoliła dołożyć cegielkę do budowy naszego kościoła.

Taki pozostał w naszej pamięci ks. Szczepan – kapłan pogrążony w modlitwie i człowiek ogromnie ciężkiej pracy.

I jeszcze drugie wspomnienie. Komunikat ks. Szczepana z I poł. lat 90-tych. „Kochani, czy wiecie, że powstało Radio Maryja? Tak! Tak! Założyli je Ojcowie Redemptoryści z O. Tadeuszem Rydzykiem na czele. Głosi ono Słowo Boże i społeczną naukę Kościoła, bez kłamstw i manipulacji! Zamówiłem partię odbiorników radiowych umożliwiających odbiór tej stacji. Są tanie i bardzo proste w obsłudze”. Ludzie rozkupili te odbiorniki, więc ksiądz sprowadzał je jeszcze 3 razy, zgodnie z zapotrzebowaniem.

Taki był nasz ks. Szczepan – budowniczy, pierwszy proboszcz naszej parafii i pierwszy w niej propagator Radia Maryja (wówczas nie było jeszcze kół Radia Maryja i innych inicjatyw Ojców Redemptorystów).

Niestety, inicjatywa rozpoczęta przez ks. Szczepana w naszej parafii – jakoś zgasła...

Monika Oliszewska

Księdza Szczepana niemalże nie znałam. Przeprowadziłam się na Zacisze w roku, w którym odchodził on z parafii. Pamiętam jednak szczególną scenę, bo bardzo mnie ona poruszyła. Otóż w czasie Adwentu, kiedy ksiądz czytał po Mszy Św. ogłoszenia, nagle oderwał się od nich i z wielką mocą napomniął parafian, że pod groźbą grzechu ciężkiego, mają zatroszczyć się o chorych w ich domach i wezwać kapłana do domu, aby wszyscy bez wyjątku chorzy mogli się wyspowiadać i przyjąć Komunię Św. przed świętami. Zapewnił też, że każdy zgłoszony chory, zostanie przez kapłana odwiedzony. To mnie wtedy bardzo uderzyło, bo było niemalże „gromem z nieba”. Pomyślałam sobie naiwnie, że przecież wystarczyłoby powiedzieć, przypomnieć „zapominalskim”, a nie od razu tak ostro... Dopiero dzisiaj, z perspektywy czasu i własnych doświadczeń, rozumiem ogromną miłość i troskę ks. Szczepana o tych milczących chorych, o każdego z nich z osobna - zamkniętych w domach, zdanych na innych. Rozumiem też, ile siły trzeba, aby przebić się przez mur obojętności, tego największego okrucieństwa współczesnej cywilizacji. Rozumiem, jak głośno trzeba nieraz zawołać, aby cokolwiek dotarło...

Księdza Szczepana poznawałam także z opowiadań, pełnych wdzięczności i dobrych słów wspomnień parafian, których wielu (z racji różnych inicjatyw, w których

brałam udział na terenie parafii) miałam zaszczyt poznać. Zazdrościłam po cichu tym ludziom tego, że mogli z nim pracować, wspólnie budować świątynię materialną i duchową, a ja - przyszłam „na gotowe”. Ominęło mnie coś wyjątkowego. To wiem dzięki nim i ich świadectwu.

Anna Sieruta

Przy budowie kościoła pomagał mój ojciec, także wujek. Sporo chętnych ludzi pomagało. Bardzo ludzie lubili ks. Szczepana. W nocy mieliśmy na placu budowy dyżury. Kiedyś przyszłam w tygodniu i chciałam dyżurować całą noc, ale ksiądz się nie zgodził, bo poszłabym do pracy niewyspana. Zaprosił mnie natomiast do tej służby w nocy z soboty na niedzielę, żebym do poniedziałku odpoczęła.

Pamiętam też parafialne pielgrzymki: do Częstochowy, do Lichenia. Zadowoleni byliśmy.

Jak księdza przenosili do innej parafii, to żeśmy płakali, że nam go zabierają.

Teresa i Stanisław Staniszewscy (*wspomina p. Teresy*)

Mąż przechodził kiedyś koło placu parafialnego i zauważył jakiegoś mężczyznę samotnie pracującego przy grodzeniu terenu. Po przyjeździe do domu zdecydował, że pójdzie pomóc. I tak się zaczęło. Pracowali razem przez 2 dni. Mąż nie zdawał sobie sprawy, że pracuje z księdzem, dopiero potem się dowiedział.

Po 2 tygodniach pracy ks. Szczepan zaproponował mężowi, żeby przychodził do pracy na terenie parafii jako ekipa. I mąż się zgodził. A kiedy kościół był już gotowy, to ksiądz zaproponował mu, żeby został kościelnym. Mąż bał się, że nie da sobie rady, ale ksiądz wierzył w niego. I tak mąż został kościelnym aż do ks. Waligóry jako proboszcza.

Ks. Szczepan zorganizował wszystkie grupy w parafii, między innymi Anonimowych Alkoholików, Rycerstwa Niepokalanej. Umiał to zrobić. Tak jak i stworzyć parafię od zera, zaczynając od własnej, ciężkiej pracy. Umiał przyciągnąć ludzi, zachęcić ich do pracy. Nawet moi synowie trochę pomagali przy rozładunku cegieł jako dzieci. Cegły spuszczała po jednej po równi z desek. Czasami zdarzały się

kradzieże w nocy na budowie, niszczenie pustaków. Wtedy ksiądz poprosił o pomoc w pilnowaniu placu budowy. Dyżurowaliśmy po 2, 3 osoby.

Ksiądz potrafił też zdobyć pieniądze, przecież te ze składek nie wystarczyłyby. Potrafił zdobyć materiały na budowę, co przecież w tamtych czasach nie było łatwym zadaniem. A samo budowanie..., to chyba była jego pasja. Pamiętam go na budowie. Wszystko szybko, żeby jak najszybciej wrócić do pracy. Przerwa na kanapkę była często na stojąco, z czapką pod pachą i zaraz z powrotem do pracy... A jak coś skończył, jak coś zrobił, to tak się cieszył, jakby to było dla niego, a przecież to było dla parafii, nie dla niego.

Ksiądz Szczepan był wspaniałym człowiekiem i wspaniałym kapłanem. Miał podejście do wszystkich. Umiał porozmawiać i z uczonym i z prostym człowiekiem. I przede wszystkim miał czas na to, by porozmawiać z ludźmi. Nigdy też nie przeszedł obojętnie, jeśli wiedział, że się komuś krzywda dzieje. Zawsze pomógł. Pamiętam, jak kiedyś dał mojemu synowi 500 zł, żeby kupił żywności i słodczy i zaniósł to do wielodzietnej, ubogiej rodziny na Askenazego. Troszczył się o ludzi chorych. Na przykład zorganizował opiekę dla p. Jadzi, która mieszkała samotnie w starym domku w trudnych warunkach tuż obok parafii. Najpierw gospodyni nosiła jej obiady, a potem, kiedy już p. Jadzi ciężko było przetrwać zimy, ksiądz zorganizował dla niej pokój i opiekę na plebani. Ksiądz zaglądał do niej, pogadał. Pani Jadzia bardzo go lubiła.

Ksiądz organizował wycieczki, pielgrzymki. Parafia dofinansowywała wyjazdy dzieci z ubogich rodzin na kolonie i zimowiska.

Kiedy ksiądz Szczepan ogłosił, że odchodzi, to płacz był w kościele. Bardzo to przeżywaliśmy.

Halina Turkiewiczowa

Noszę w sercu głęboką wdzięczność dla ks. Szczepana za pomoc duchową i poradę, jakich mi udzielił w wielkim utrapieniu i w bardzo trudnej dla mnie sytuacji życiowej. Było mi bardzo ciężko i trudno i nie wiedziałam, jak mam uporać się z zadawnionymi sprawami, a ksiądz wysłuchał mnie i poradził tak „od serca”. Pomógł mi przemyśleć wszystko i zobaczyć inaczej. Posłuchałam jego rady i dzięki temu

ułożyło się dobrze. Gdyby nie jego pomoc, nie wiem, jak potoczyłyby się moje losy, nie wiem, co byłoby ze mną dzisiaj.

Bożena i Adam Owsiankowie

Na Targówek sprowadziliśmy się w czasie, gdy kaplica była gotowa. Byłam wtedy w ciąży z drugim synem. Poprosiłam księdza o poświęcenie mieszkania. Przyszedł, poświęcił. Kiedy chciałam złożyć ofiarę – nie przyjął pieniędzy. Poprosił tylko męża o pomoc przy budowie świątyni. Tak samo było przy okazji kolędy. Kiedy nas odwiedzał – zawsze miał czas na rozmowę, bez pośpiechu.

Gdy nasi synowie mieli po kilka lat, pomagaliśmy przy zakładaniu kanalizacji. Młodszy syn, Tomek, wówczas czteroletni, chciał pomagać swoją dziecięcą łopatką. Ksiądz Szczepan podszedł do niego i powiedział, że lepiej, żeby poszedł na spacer z mamą. Po powrocie do domu syn z pełną powagą oświadczył, że będzie znał już dwóch świętych Szczepanów: „pierwszego męczennika, a drugiego naszego proboszcza”.

Wciąż żywy jest obraz ks. Szczepana na budowie: gumiaki, flanelowa koszula w czerwonej kratę... Jak się żegnał odchodząc z parafii, to ze łzami w oczach powiedział: „pamiętam te zupki, te ciasta, które żeście przynosili...”

Marianna Zowczak

Był majowy dzień. Odwiedziła mnie moja kuzynka i jej przyjaciółka, Maria. Odprowadzałam je do autobusu. Weszłyśmy do kaplicy, pomodliłyśmy się. Kiedy wyszłyśmy, patrzymy, a tu w miejscu, gdzie teraz są drzwi do zakrystii, stoi drabina. Po niej schodzi z dachu ks. Szczepan. Powiedziałam moim gościom, że to jest nasz proboszcz, a Maria aż oniemiała z wrażenia.

Z córką chodziłam na majowe. Ks. Szczepan odprawiał nabożeństwo, a zaraz potem już stał z robotnikami. Nigdy nie odpoczywał.

W roku 1988, kiedy nadchodził czas pierwszej Komunii Św., postanowiliśmy z mężem, że nasza córka przystąpi do niej na Jasnej Górze. Powodem takiego pragnienia było to, że nasza córka nie знаła żadnych dzieci, gdyż była od początku objęta indywidualnym nauczaniem w domu. Zwróciliśmy się z tą sprawą do ks. Szczepana.

Przyjął nas bardzo serdecznie i namówił, żeby córka razem z innymi dziećmi przyjęła Komunię Św. w naszej parafii, żebyśmy razem z nią mogli uczestniczyć też w tzw. białym tygodniu. Tak też uczyniliśmy. Nasza córka przystąpiła do tego sakramentu w naszej parafii. Było to dla mnie bardzo ciepłe i uskrzydlające przeżycie. Weszłam w tłum obcych ludzi, ja, matka dwojga niepełnosprawnych dzieci, a czułam się tak, jakbym była w jednej rodzinie. Nie czułam, że jestem inna, że mam inne dziecko. Nie sposób o tym zapomnieć.

Kiedy zamawiałam intencje mszalne i składałam ofiarę, to ksiądz zawsze pytał, czy stać mnie na nią i czy za dużo nie ofiarowałam.

Po skończonej Mszy Św. zachęcał do uśmiechu, żeby z kościoła wychodzić z uśmiechem.

Ks. Szczepan jest zawsze w naszych modlitwach. Nasz kościół to najlepsze miejsce na ziemi. Na złoty pałac bym go nie zamieniła.

Helena Żurawińska

Jak przychodził transport cegły, to ksiądz nie dawał nam robić bez przerwy, bez odpoczynku. Kiedyś stałam przed takim dużym kamieniem. Ksiądz Szczepan podszedł do mnie i ze śmiechem pokazał mi, jaki taki duży kamień „na taczkę wskakuje”. I kamień wskoczył niemalże.

Walenty Burchardt

Rok 1992 lub 1993, kościół św. Marka Ewangelisty w budowie. Wymagał jeszcze wielu nakładów finansowych i pracy. Po Mszy św. podszedłem do ks. proboszcza Szczepana Stalpińskiego złożyć ofiarę za Mszę św. w intencji moich rodziców, którą odprawiał ks. proboszcz. Przedemną była starsza pani, która również chciała złożyć ofiarę za Mszę św. odprawianą za dusze ś.p. swoich bliskich. Wręczyła ks. proboszczowi banknot 100 zł. Wówczas ks. proboszcz zwrócił się do tej pani: „Nie mogę od Pani przyjąć tyle pieniędzy, mogę najwyżej przyjąć połowę tej kwoty, t.j. 50 zł, bo wiem, że na taką sumę Panią stać. Pani jednak nalegała przedstawiając różne argumenty i prosiła ks. proboszcza o przyjęcie całej sumy, którą ofiaruje za Mszę św. i na budowę kościoła.

Byłem też świadkiem, kiedy do domu parafialnego próbowała się dostać pani w średnim wieku. Był piękny poranek w lecie. Nieoczekiwanie w drzwiach ukazał się ks. Szczepan. Był ubrany w spodnie drelichowe, koszulę w kratki z rękawicami roboczymi w rękę. Zapytał panią, która przed drzwiami oczekiwała na księdza, z jaką sprawą przychodzi. Tu nastąpiła wymiana zdań. Ks. proboszcz tymi słowami zwrócił się do interesantki: „Ta sprawa nie jest taka pilna. Ponieważ ja spieszę się na budowę, do robotników, którzy na mnie czekają, proszę panią o przyjście w godzinach wieczornych, czyli po pracy, a sprawa, z którą pani do mnie przychodzi będzie załatwiona.

Już tylko te dwa przytoczone prze mnie fakty wskazują, jak dobrze ks. Szczepan Stalpiński znał swoich parafian i jak w sposób osobisty przyczynił się do budowy świątyni w naszej parafii.

Teresa Tymosiewicz-Muszel: Dziękuję Opatrzności...

Długo nie mogłam zabrać się za pisanie wspomnień o Księdzu Szczepanie, mimo że byłam pomysłodawczynią tych działań. Mówiłam, że brak czasu, że praca zawodowa, praca w parafii, duża rodzina... Czasu – tak, owszem, zawsze mi brakuje, ale chodziło o coś innego. Byłam przekonana, że nie potrafię oddać słowami tego, co czułam, co przeżyłam, co wspominam, a co wiąże się z osobą śp. Księdza Szczepana. Zwyciężyło jednak poczucie, że winna jestem Księdzu Szczepanowi wiele, bardzo wiele, i ono sprawiło, że kreślę choć tych kilka zdań ...

To, że o kilka kroków od mojego miejsca zamieszkania został wybudowany Kościół p.w. św. Marka Ewangelisty, było dla mnie znakiem, że Opatrzność czuwa nade mną. Moje marzenie, aby „na starość” mieć w pobliżu kościół, spełniło się. Do tej pory „tułaliśmy się” po różnych okolicznych parafiach i w żadnej z nich nie czuliśmy, że to nasza.

Dalej potoczyło się wszystko tak, że moje początkowo mgliste marzenia związane z parafią spełniały się po kolei: teatr, kolonie, świetlica, mini ośrodek kulturalny. A wszystko dzięki temu, że Pan Bóg postawił na mojej drodze Księdza Szczepana. To On właśnie wyznaczył mi rolę w tej parafii, to dzięki Jego Osobie moje ponad piętnastoletnie zaangażowane w działalność parafialną mogło stać się faktem.

Ksiądz Szczepan to niezwykła osobowość – bardzo szybko zdobył sobie naszą akceptację, podziw, przyjaźń i wdzięczność. Byliśmy zawsze dumni, mówiąc o swoim Proboszczu – nasz Proboszcz buduje kościół jak zwykły robotnik: kielnią, łopatą, pośród swoich parafian, którzy pociągnięci jego przykładem wznosili mury świątyni w zawrotnym tempie. Ale kościół budował Ksiądz Szczepan także ze swoich wiernych, którzy zintegrowani wokół dzieła stawali się wiernymi parafianami, dobrze czującymi się we wspólnocie św. Marka.

Teatr. Ksiądz przekuwał słowa na czyny. Kiedy w nowym budynku kościoła można było już odprawiać msze i nabożeństwa, Ksiądz Szczepan szukał pomysłu na wykorzystanie pustych pomieszczeń. Propozycję utworzenia teatru przy parafii przyjął niezwykle entuzjastycznie. Wspominał przy tej okazji swój teatr z czasów seminarium, gdzie – jeżeli dobrze pamiętam – zajmował się obsługą techniczną spektakli.

I tak zespół dziecięcy „Świetliki”, działający przy Szkole Podstawowej nr 315 do czerwca 1996 roku, a którego przedstawienie bożonarodzeniowe Ksiądz Szczepan miał okazję widzieć w kościele św. Marka Ewangelisty, we wrześniu 1996 roku rozpoczął swoje zajęcia w domu parafialnym przy ul. Zamiejskiej. Wspólnie ustalaliśmy, gdzie ma się znajdować scena, widownia, garderoba. Ksiądz przedstawiał swoją wizję aranżacji przestrzeni, ale także pytał o zdanie, radził się. Sala teatralna, zgodnie z obietnicą (choć wyglądało to nierealnie), została oddana do użytku przed pierwszą premierą spektaklu bożonarodzeniowego – 25 stycznia 1997 roku. Była to „Cicha noc” wg scenariusza Urszuli Golańskiej, który autorka napisała specjalnie na tę okazję. Ksiądz Szczepan zadbał o wszystko: o kurtynę i scenę z wykładziną (te same do dzisiaj), nagłośnienie, oświetlenie, ławki dla widzów, zaplecze, nawet o garderobę w dawnej zakrystii z drążkami na stroje i niezbędnym „przyrządem” do zdejmowania kostiumów z górnego drążka, które to wykonał pan Tomek Parol, niezwykle pomocny w różnych pracach technicznych. W ostatniej chwili przed premierą zwróciłam uwagę Księdzu na brak szatni: sprawę rozwiązał błyskawicznie, montując „haki” na ścianach i zakupując do nich wieszaki na okrycia zewnętrzne. Były solidne, czerwone – do dziś zostało ich sporo. Przypominają mi o księdzu Szczepanie.

Pierwsza premiera zakończyła się sukcesem. Ksiądz Szczepan bardzo się cieszył! Szczęśliwe były dzieci i ich rodzice, a publiczność – wzruszona.

Ksiądz Szczepan, mimo swojej ciężkiej pracy fizycznej, interesował się działalnością teatru, zaglądał na zajęcia, informował w ogłoszeniach parafialnych o sukcesach zespołu. Przynosił do teatru wciąż coś nowego, a to duże ilości materiałów na kostiumy, a to nowe mikrofony czy instrument muzyczny. Kiedyś wpadł na zajęcia i podarował mi książkę ze scenariuszami przedstawień bożonarodzeniowych, czym mnie zaskoczył i wzruszył tak, że nie śmiałam Mu powiedzieć, że już taką mam...

Kiedyś na premierze przedstawienia „Zabawa w bajkę o śpiącej królewnie”, w scenie, w której widzowie spontanicznie obdarowywali księżniczkę prezentami z okazji chrzcin, poprosiłam księdza, aby zagrał w tym epizodzie. Nie wahał się, wszedł na scenę i podarował aparat fotograficzny „poduszce”, która grała w tej scenie księżniczkę. Zrobił to bardzo zgrabnie, za co otrzymał gromkie brawa.

Zachęcał widzów do zasilenia funduszy teatru, ale też sam pierwszy wrzucał do skarbonki dzieciom więcej niż symboliczną złotówkę.

Dbał także o religijne wychowanie uczestników zespołu: potrafił zwrócić mi uwagę, że dzieci przebywają na zajęciach zamiast na nabożeństwie pierwszopiątkowym... Dzieło – Teatr, to zasługa Ks. Szczepana...

Kolonie. Na wiosnę 1997 roku dostałam zadanie: „Pojeździe pani na kolonie z dziećmi teatralnymi, które zorganizuje Caritas Diecezji Warszawsko-Praskiej, będzie pani kierownikiem”. Ja?! Jeździłam kilkakrotnie z dziećmi, ale kierownikiem nigdy nie byłam, nie miałam nawet uprawnień. „To pójdzie pani na kurs, który organizuje Caritas, piątek i sobota”. Nie pojechałam wtedy na zaplanowany rajd sąsiedzki, dojechałam dopiero wieczorem, po kursie, z dokumentem uprawniającym mnie do kierowania kolonią.

Aby obejrzeć miejsce pierwszych kolonii w Krasnobrodzie, Ksiądz Szczepan zorganizował wyjazd prywatnym samochodem razem z Dyrektorem Caritasu księdzem Krzysztofem Ukleją. Byłyśmy tam razem z Grażynką Hulak, która przez kilka lat wyjeżdżała ze mną na kolonie z dziećmi z parafii. To był bardzo udany wyjazd grupy 34 dzieci, pełna integracja uczestników teatru, wspaniałe kolorowe wieczory, kadra bawiła się na nich wspólnie z uczestnikami. To tam po raz pierwszy pojawiła się zabawa w kolory, towarzyszące parafialnym wyjazdom wakacyjnym do dzisiaj. Byłam wdzięczna Księdzu Szczepanowi za to, że postawił przed mną takie

zadanie, za niezapomniane przeżycia, pomimo wielkiej odpowiedzialności i ogromu spraw organizacyjnych. W tym roku kolonie organizuję po raz szesnasty... 1200 dzieci, prawie dwa razy tylu zadowolonych rodziców... Wielu młodych z kadry wyjeżdżającej na kolonie zdobyło doświadczenie do pracy z innymi dziećmi. To dzieło zapoczątkował Ks. Szczepan.

Ksiądz Szczepan był otwarty na propozycje osób świeckich, pozwalał organizować imprezy dla parafian w sali teatralnej. Bawiliśmy się na kilku zabawach sylwestrowych, kilku zabawach karnawałowych (w tym i kostiumowych), w których uczestniczył, czasem tylko zaglądał. Był świetnym tancerzem. Raz poprosił mnie do tańca: na parkiecie poruszał się bardzo zgrabnie: tak, jakby był dużo młodszy i lżejszy.

Bale i zabawy znakomicie integrowały parafian. Przyczyniały się do tego wspólne przygotowania, sprzątanie po imprezie czy wspólna konsumpcja pozostałości ze stołów. To właśnie za czasów Księdza Szczepana zaczęliśmy śpiewać kolędy w okresie bożonarodzeniowym, a w okolicach 11 listopada – pieśni patriotyczne. Tradycja ta trwa do dzisiaj.

Niewiele osób wie, że ulubionym zajęciem księdza była praca w ogrodzie, który urządził tuż obok kościoła. Ja sama byłam ogromnie zaskoczona, gdy pokazał swoje dzieło. Były tam krzewy i drzewka owocowe, ale i wszelkie warzywa, zapewne wykorzystywane do przyrządzania posiłków. Zostałam poczęstowana wtedy buraczkami, szczypiorem i natką pietruszki. Jak On znajdował na to czas?

Był skromnym człowiekiem, nie lubił dużych uroczystości... Zaproszony na 5-lecie Teatru RAJ, przybył na dwie godziny przed uroczystością z życzeniami. Przeprosił, że nie będzie uczestniczył w jubileuszu i wyjaśnił, że nie lubi takich imprez, że byłoby to dla niego trudne... Ale przywiózł dla dzieci dużo słodyczy, a dla mnie kwiaty.

Natomiast ogromną radość sprawił swoim przybyciem, wraz z księdzem Krzysztofem Waligórą, na 10-lecie Teatru. Z bukietem czerwonych róż, „załącznikami” dla teatru. Wzruszył nas wszystkich, także wielu parafian. Został na poczęstunku, wszyscy garnęli się do niego, aby się przywitać i zamienić parę słów.

Więść o tym, że Ksiądz Szczepan odchodzi z parafii, poruszyła wiele osób. Nie mogliśmy sobie wyobrazić parafii bez Ks. Szczepana. W rozmowie z księdzem o jego

odejściu z parafii powiedział: „Pani się nie martwi, dobrze będzie, przyjdzie na moje miejsce ktoś, z kogo będziecie bardzo zadowoleni.” Słowa dotrzymał... Na pożegnalny obiad zaprosił osoby bliżej związane z parafią. Cała sala teatralna była wypełniona, stoliki stały nawet na scenie.

Słowa „dobrze będzie”, słyszane wielokrotnie z ust księdza, zawsze mnie uspakajały. Jeszcze dzisiaj słyszę je, pamiętam dokładnie głos księdza i w chwilach trudnych przypominam sobie te słowa – to pomaga...

Po odejściu Księdza z Targówka kilkakrotnie odwiedziliśmy Go w Parafii Św. Wacława, na Gocławiu. Zawsze też wysyłałam Mu pozdrowienia z kolonii, życzenia świąteczne i imieninowe, zawsze zapraszałam na premiery teatralne. Pisaliśmy też życzenia imieninowe i świąteczne jako parafianie, jako sąsiedzi z Zamiejskiej 3. Ksiądz Szczepan nigdy nie odpisywał, ale zawsze przy każdym spotkaniu dziękował za pamięć, tłumaczył, że nie ma czasu na odpisywanie, ale ma nas zawsze w sercu i w modlitwie.

Ostatni raz wysyłałam Księdzu zaproszenie na premierę spektaklu „Dlaczego są Święta Bożego Narodzenia?”, przewidywaną na dzień 15 stycznia 2011 roku. W przededniu premiery, 14 stycznia, Ks. Szczepan odszedł do domu Ojca... Jestem jednak przekonana, że spektakl oglądał z góry. Zajęliśmy wtedy w konkursie „Betlejem u Avetek” I miejsce.

Trudno było mi usunąć z listy kontaktów adres Ks. Szczepana...

Dziękuję Ci, Księżo Szczepanie, za to, że wyznaczyłeś mi taką rolę w parafii Św. Marka Ewangelisty, ważną rolę w moim życiu.

Dziękuję Opatrzności za to, że postawiła na mojej drodze Księdza Szczepana.

Zofia Wardzyńska

W piątek 14 stycznia 2011 roku już nie było nadziei, nadziei z którą codziennie wieczorem jechałam do szpitala wraz z jednym z przyjaciół Księdza Szczepana. Wiara, że będzie lepiej, żyła w nas od Nowego Roku, od kiedy stan zdrowia zaczął się poprawiać. Ksiądz Szczepan zaczął nawet rozmawiać o najbliższych planach budowy kolejnego, czwartego kościoła. Pomimo że był bardzo osłabiony, planował: co da się radę zrobić we własnym zakresie z pomocą parafian i przyjaciół, a do jakich prac

trzeba będzie zatrudnić firmę. Po takich wieczorach spędzonych przy łóżku Księdza rosła nadzieja, że będzie już tylko lepiej, że najgorsze minęło. Każdego dnia po pracy staraliśmy się jak najprędzej jechać do szpitala, aby pomóc naszemu ukochanemu Księdzu, porozmawiać z Nim i dowiedzieć się, czy jest poprawa. Odwiedzających Księdza było bardzo wielu. W piątek, 7 stycznia, Ksiądz Szczepan poczuł się na tyle dobrze, że bez pomocy balkonika zszedł z nami na parter. Tak było do 9. stycznia. W niedzielę stan zdrowia znacznie się pogorszył. Wieczorem Ksiądz czuł się źle, było mu zimno, był bardzo zmęczony. Każdy następny dzień był już tylko gorszy. Ksiądz bardzo cierpiał, bolała Go każda cząstka ciała. W czwartek w południe zadzwonił do mnie jeden z Księży, bliski przyjaciel Księdza Szczepana z informacją, że stan jest krytyczny. Wieczorem, gdy weszliśmy na salę, Nasz Ksiądz spał, był nieprzytomny. Oddech Jego wspomagała aparatura z tlenem, podłączony był do kroplówki. Nie mogliśmy uwierzyć w to, co widzimy. Czuliśmy ogromny żal z powodu bezsilności, że nie możemy pomóc temu, który całe swoje życie poświęcił Bogu i ludziom. Wyszliśmy ze szpitala zdruzgotani, ale ciągle z wiarą, że musi być lepiej. Takiej nadziei do końca nauczył nas właśnie Ksiądz Szczepan, który stale powtarzał: *„trzeba zawsze mieć nadzieję, nigdy nie przestawaj wierzyć”*.

Cały dzień w piątek drżałam, aby nie zadzwonił telefon z najgorszą wiadomością – telefon milczał – ożyła więc nadzieja, że nie jest gorzej. To była złudna nadzieja. Wieczorem, jak co dzień, pojechaliśmy do szpitala. Ksiądz był nadal nieprzytomny, podłączony już tylko do tlenu. Weszła na salę pani doktor, podeszła do nas i powiedziała z żalem „już tylko pozostało się modlić”. Nie wierzyliśmy w to, co usłyszeliśmy. To niemożliwe! „Niestety tak” potwierdziła lekarka i wyszła. Dwie godziny później Nasz Przyjaciel, Ukochany Ksiądz Szczepan zasnął w Panu. Nasza nadzieja, która trwała do końca - umarła.

Patrzę na kościół Św. Marka, który mam przed oknami swojego mieszkania. Do 1987 roku było tu wysypisko śmieci, a w rogu placu stał silos na cement, pozostałość po budowie bloków przy ul. Zamiejskiej. Rozeszła się wówczas informacja, że plac ten jest przeznaczony pod budowę kościoła. Trudno to było sobie wyobrazić, patrząc na istniejący stan. Jednak tak się stało, ku naszej wielkiej radości. Plac został

uprzątnięty przez mieszkańców, postawiliśmy szopę z płyt pilśniowych i desek, a nad wszystkim czuwał Śp. ks. Henryk Dreling – proboszcz parafii na Zaciszu.

Pewnego jesiennego dnia 1987 roku na plac przyjechał biały Fiat 125p, z którego wysiadło pięciu mężczyzn. Zajęli się przygotowywaniem placu pod budowę. Wśród nich miał być Ksiądz Szczepan, ale który? W roboczych drelichach wyglądali jak fachowa ekipa budowlana. Szybko się jednak wyjaśniło, który jest księdzem Szczepanem, jak również, że pozostali to jego przyjaciele z poprzedniej parafii w Halinowie.

Prace przy budowie baraku szły w błyskawicznym tempie. Z podziwem patrzyliśmy na wspaniałą organizację i ofiarną pracę Kapłana. Nigdy z czymś podobnym się nie spotkałam. Nieśmiało zaczęli dołączać do pomocy nasi mieszkańcy i chętnych było coraz więcej, no bo jak mogło być inaczej, kiedy był TAKI przykład. Mieszkańcy przychodzili o różnych porach dnia, kiedy kto mógł. O trzynastej była przerwa i wszyscy rozchodzili się na obiad do domu. Pewnego dnia zauważyłam, że Ksiądz nie pojechał na obiad na plebanię na Zacisze, tylko je jakieś konserwy na krajezeze stojąc przed barakiem. Na drugi dzień historia się powtórzyła. Wszyscy poszli na obiad, a Ksiądz znów konserwy na kajzerce. Nie wiedziałam, jak się zachować, żeby nie popełnić nietaktu, ale zaryzykowałam. Poszłam i zaprosiłam Księdza na obiad - ku mojej radości nie odmówił i tak zostało do końca budowy. Po kilku dniach poprosił, żeby przynosić obiad na plac do „kanciapy” (małe pomieszczenie w baraku, gdzie się przebierał), ponieważ krępuje się w brudnych drelichach przychodzić do mieszkania, a na przebieranie szkoda cennego czasu. Zawsze budowa była na pierwszym miejscu, a On sam się nie liczył.

W lutym 1988 roku ruszyły wykopy pod budynek katechetyczny i plebanię. Dzięki wspaniałej organizacji i niezwykłym umiejętnościom okazywania szacunku każdemu człowiekowi, coraz więcej ludzi przychodziło do pomocy. Ksiądz Szczepan był wdzięczny za każdą, nawet najdrobniejszą pomoc. Była w nim siła, która przyciągała i zjednywała ludzi we wspólnym celu, w imię Boga. Budowa szła szybko. Mieszkańcy widząc ogromne zaangażowanie i ciężką pracę Księdza w słońcu, deszczu, czy mrozie, chętnie przychodzili do pracy. Zawiązywały się znajomości, osiedle integrowało się. Nie brakowało również przykrych sytuacji ze strony mieszkańców

niechętnych budowie kościoła. Wstyd nam było za nich, a On cierpliwie mówił „*nie przejmujcie się; nic na to nie poradzimy – to działa szatan*”. Widziałam wtedy na twarzy Jego ogromny smutek i nie mogłam zrozumieć podłości ludzi. Pamiętam też, jak bardzo cieszył się, gdy na placu pojawiały się nowe osoby do pomocy. Nieraz przy okazji ogłoszeń w niedzielę, gdy dziękował za najdrobniejszą nawet pomoc, żartując zachęcał, żeby ujawniali się młodzi inżynierowie, gdyż mają jedyną okazję do dobrych praktyk na budowie.

Budowa rosła, a On nigdy nie prosił o pieniądze. Prosił nas o modlitwę i o pomoc w pracy. A praca była tu dla każdego, liczyła się każda para rąk. Parafianie nie szczędzili wysiłku. Kto nie pomagał bezpośrednio, wspierał finansowo. Każdy z nas starał się być pomocnym. Byli tacy, którzy przynosili owoce z własnych sadów, z których gotowałam dla pracujących przy budowie parafian po kilka wiader kompotu dziennie.

Nasz Ksiądz potrafił tak nas zorganizować, że gdy przebywał poza parafią, sami wiedzieliśmy, co mamy robić. Jak wtedy, gdy pracował razem z parafianami na Cmentarzu Bródnowskim, aby pozyskać finanse na budowę, a przyjechał na Plebanie transport cegły - starczyło kilka telefonów i już była „ekipa” do rozładunku.

Garnęli się do Księdza Szczepana wszyscy: starsi, młodzież i dzieci, gdyż był ogromnym autorytetem. Dla wielu młodych był to Ojciec – Proboszcz. Bo był jak Ojciec: pochwalił, zachęcił, pouczył, kiedy było trzeba. Interesowały go sprawy młodzieży – ich przyjaźnie, miłości, życiowe wybory. Był delikatnym doradcą, widział więcej, niż się młodym wydawało. Miał cukierka dla łakomych małych ministrantów i otwarte serce dla ludzi chorych. Odwiedzał ich i organizował dla nich świąteczne spotkania. Często we własnym zakresie przywoził ich na nie.

Nie tylko budował *fizycznie* kościół, ale i *duchowo*, integrując dorosłych, młodzież i dzieci. Rodziła się prężnie działająca wspólnota. Potrafiliśmy z Księdzem nie tylko pracować, ale również jechać nad Zalew Zegrzyński na grzyby, które bardzo lubił zbierać. Czasem dał się zaprosić do kina na dobry film. Nieraz trzeba było użyć małego podstępu, żeby Go namówić, gdyż zawsze znalazłyby się ważniejsze sprawy. Znajdował czas na pielgrzymki lub wycieczki w gronie członków Akcji Katolickiej, której był Opiekunem. Otwarty na ludzkie potrzeby pokazywał nam, że „*Kościół żyje*

życiem swoich parafian - jest czas na modlitwę, jak i zabawę". Mieliśmy bale karnawałowe dla najmłodszych, dyskoteki dla młodzieży zaangażowanej w pracę parafii, ogniska z piosenkami religijnymi, a także zabawę sylwestrową z Panem Bogiem. Nie sposób zliczyć wszystkich akcji, którym patronował uświadamiając nam, że Bóg jest we wszystkim, co robimy.

Był niezwykle skromną osobą. Ciągłe powtarzał: „*mam wszystko, co mi potrzeba*". Nawet gdy wysłużony biały Fiat zaczął odmawiać posłuszeństwa, miał poważne opory, żeby zmienić go na trochę nowszego Opla, którego podarował Mu jeden z księży, Jego Przyjaciel. Zawsze mówił, że „*radością i szczęściem w życiu jest dzielenie się z innymi, że łatwiej jest dawać niż przyjmować*".

Z ogromną radością przeżywaliśmy wszyscy pierwszą Mszę Świętą w listopadzie 1989 roku w nowej kaplicy i pierwszą Pasterkę celebrowaną przez Ks. Prymasa Józefa Glempa. Wszelkie słowa uznania za wspaniałe tempo budowy były przez Niego krótko komentowane: „*to zasługa parafian, to wszystko dzięki nim*". Wiedzieliśmy że prawda jest zupełnie inna.

Wiosną 2000 roku zaczęły dochodzić do nas niepokojące informacje, które okazały się smutną prawdą: Ksiądz Szczepan przechodzi do innej parafii. Bardzo trudno było pogodzić się z decyzją Biskupa. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że Nasz Ksiądz zostanie z nami wiele lat. Widzieliśmy, jak bardzo jest już zmęczony, nigdy nie miał czasu na urlop, bo lato to najlepszy czas na budowę. Nie był już wtedy najlepszego zdrowia, wspominał o różnych dolegliwościach i było to widać. A tu nowa budowa, nowy trud i nowe wyzwanie. Pamiętam jak marzył: „*skończy się budowa, to się gdzieś wyjedzie i trochę odpocznie*". Teraz odpoczywa nie kończąc ostatniej budowy...

Pozostawił po sobie wiele zrozpaczonych, kochających Go serc. Codziennie modłę się wieczorem w Jego intencji i wciąż nie mogę uwierzyć, że już więcej nie usłyszę ciepłego głosu Księdza Szczepana. A On tylko „patrzy” z fotografii ze swoim charakterystycznym, uśmiechem i w ten sposób przemawia do mnie.